Nr. 9. Kraków, we wrześniu 1901 r. Rok II.

PRZODOWNICA

Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie	1 kor.	zagranicą . . .	1 marka
półrocznie . . .	50 hal.	pojedynczy numer	10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.

Ten numer „Przodownicy" poświęcamy Siostrom naszym Polkom pod zaborem niemieckim, walczącym skutecznie w obronie swych praw narodowych.

Komitet redakcyjny.



Na piastowym Śląsku.

— „Niechaj będzie pochwalony!"
Pątnik drogą uznojony
Gościem przyszedł w śląskie strony.

Przyszedł chyląc siwej głowy,
Od Królowej z Częstochowy,
I gdzie Wawel Krakusowy.

Hej, i z dalszej okolicy,
Gdzieś od Gopła, od Kruszwicy,
Gdzie brzmi pieśń Bogarodzicy!

Niby biedny, niby stary,
A ma wzrost królewskiej miary,
Srebrny włos spada na bary.

Niby zwiędła twarz i sucha,
Ale w oczach żary ducha,
Jakaś moc od niego bucha.

Zaczem dawszy pokłon Bogu,
W śląskiej izby przysiadł progu,
Niby żóraw na rozłogu.

Ściągnął z pleców małą lutnię,
Pobrząkiwać zaczął smutnie,
To przynuci, to znów utnie.

Jakaś pieśń niewyśpiewana
Pali, boli go, jak rana,
Pieśń, z poselstwem jemu dana.

Poschodzili się ludziska,
Ten, ów gościa rękę ściska;
Toć swojacka krew, i bliska!..

Poschodzili się rówieśni,
Pątującej słuchać pieśni,
Coś się śni im, cości nie śni....

Jakieś dawne przypomnienia...
Łza ukradkiem wzrok zacienia,
Słychać szepty i westchnienia.

— „Hej ty mowo, nasza mowo,
Znasz ty zaklęć wielkie słowo,
Masz ty siłę piorunową!

Hej ty pieśni, swojska pieśni,
Pachniesz ty nam kwieciem trześni,
Z pod zimowej szarej pleśni!

Hej ty słowo, słowo nasze,
Ty ślązackie i ty lasze,
Dzwonisz ty nam jako ptasze!...

Utęsknieni my do Ciebie,
Jak do słonka na tem niebie,
Jak do mocy w dusznym chlebie!...

Wstań nam zorzą! Zbudź tysiące!
Serca nasze są mdlejące,
A nad nami mroki ćmiące...

Wstań hejnałem! Noc nam głucha,
Utłumiła w piersiach ducha,
Wszędzie gorzkość i posucha...

Cudze dymy — wzrok wyżarły,
Cudze prawa — dech zaparły,
Lud my sąśmy pół-zamarły!...“

Gwarzą, szepcą gospodarze,
Dawni śląskich niw włodarze,
Oczy we łzach, w ogniach twarze...

Zaciskają pięście młodzi,
Płomień im po licu chodzi,
Żywa moc się w kościach rodzi.

A wtem pątnik podniósł oczy,
Rozgrzmiał pieśnią w głos proroczy,
Co jak grom się niebem toczy...

Na trzy strony rozgrzmiał świata
Jak ten wichr, co polem lata,
Aż się wstrzęsła śląska chata.
. . . .

Już przyszedł czas! Już stał się cud!
Już godzin słyszę bicia...
Letargu snem schwycony lud,
Przebudził się do życia!

Już nastał dzień, już błysnął dziw,
Zdawna przepowiadany,
Z letargu lud się przecknął żyw,
I wstrząsnął grobu ściany!

A duch przejasny woła nań,
Wieńczysty Duch narodu:
— „Łazarzu, wstań! Łazarzu, wstań!
Już idą brzaski wschodu!

Przespałeś wiele, wiele dni,
W śmiertelne żgła spowity,
Dwugłowy orzeł krakał ci,
Że zgasły boże świty...

A oto jutrznia wschodzi, hań!
Pod niebo hejnał leci...
Łazarzu, ludu śląski, wstań!
Ty kmieciu, z bożych kmieci!“



Marya Konopnicka.

I poczuł Ślązak w żyłach krew,
I poczuł nowe siły,
I zmartwychwstania wznosząc śpiew,
Podźwignął się z mogiły.

Śmiertelny znój to! krwawy trud!
Wysiłek niesłychany!
Po wiekach całych śląski lud
Niemieckie rwie kajdany!

W ojczyzny imię bierze chrzest,
Potężny chrzest dziejowy,
I wie, że Polska — matką jest,
A on, — że ród piastowy.

I dźwiga się z zbyt długich snów,
Po ciężkiej, dusznej męce,
Do matki-Polski oto znów
Wyciąga obie ręce.

I wiedzie syna ojciec sam,
Gdzie brzask od Wisły świeci,
I woła: „Synu, patrzaj, tam,
Nasz orzeł biały leci!“

I patrzy chłopiec w modry szlak,
W słoneczność patrzy wschodu,
I wie, i czuje, że ten ptak,
To znamię jego rodu.

I wie, i czuje, że w nim krew
I kość gniazdowa lasza...
I brzmi mu jak najsłodszy śpiew,
Ojczysta mowa nasza.

A ojciec tuli syna w łzach,
I żegna krzyża znakiem:
— „O synu — woła — w ciężkich dniach
Pamiętaj, żeś Polakiem!

Jak wyspa my, jak drobny ląd,
Na Niemców oceanie...
Gniew morza huczy stąd i stąd,
Lecz ducha nie dostanie!“

I podniósł w niebo bladą twarz,
Gdzie troska bruzdy orze...
I szeptał z cicha: „Ojcze nasz!...“
I szeptał: „Święty Boże!“

. . . .

Lecz gdzie jest matka? Żona — gdzie?
Gdzie ścian tych jasna dusza?
Czyliż zamarłe w długim śnie,
Jej serce się nie wzrusza?

Gdzie siostra, której słodki głos,
Zagłuszył-by niemczyznę,
Gdy w cichy wieczór pełen ros,
Wspomina kraj, Ojczyznę?...

Gdzie jest niewiasta, której w straż
Bóg oddał to ognisko?
Gdzie głośny polski pacierz nasz,
Pieśń polska nad kołyską?

— Milczycie! Czyliż wam nie srom,
W obliczu ziemi, nieba,
Że tam, gdzie polski ród i dom,
O was się pytać trzeba?...

Że tam, gdzie walczy mąż i syn,
Męczeńskim dusz orężem,
Was — żadna jedność, żaden czyn,
Nie wiąże z synem, z mężem?

Że się nie balsam z waszych rąk
Na serc ich sączy blizny,
Lecz jad najsroższy z wszystkich mąk —
Zaparcie się Ojczyzny!...

Także was Niemców olśnił blask,
Blask cudzy i kradziony,
Że wam ta ziemia pełna łask,
Zabiedna — śląskie żony?

Także was Niemców uwiódł szych,
Osłona zdrady, brudu,
Że się wstydzicie szat już swych,
Śląskiego córy ludu?

Tak-że wam mile wpada w słuch
Niemieckie obce słowo,
Że się zapomniał mdły wasz duch,
Ojczystą modlić mową?

Niewiasto śląska! Ciebie Bóg
Postawił na rubieży,
Byś nie puściła przez swój próg
Męża — na pierś macierzy!

Niewiasto śląska! Bóg ci zdał
Szafarstwo święte ducha,
On z chleba dusz, nie z chleba ciał,
Rachunku cię wysłucha.

Gdy przyjdzie dzień, gdy przyjdzie czas,
Sądzony od stuleci,
— „O matko! Czemu Niemcy z nas?“
Spytają twoje dzieci.

— „O Matko! Czemu fałsz i kłam
Zadałaś Boga woli,
Co duszę polską w pierś tchnął nam,
Osadził w polskiej roli?

Matko! Gdzie nasza mowa jest?
Rodzinna mowa lasza?
Gdzie polskie imię? polski chrzest?
Gdzie jest Ojczyzna nasza?“

Cóż ty im wtedy powiesz? Co?
Przerzekniesz tej godziny,
Gdy się od ciebie, z gorzką łzą,
Odwrócą twoje syny?

I pójdą syny twoje precz
W niemieckich pęt łańcuchy,
A serce twe przebije miecz,
A dom zostanie głuchy.

Nocą cię będzie budził głos
Jękami żałosnymi,
I w smutku ci zbieleje włos,
I nagniesz się ku ziemi.

Lecz ziemia powie — nie znam cię!
I nie chcę twoich kości,
Tyś za żywota zaparła mnie,
Ja zaprę cię w wieczności!

. . . .
. . . .

Skończył śpiewak. Spuścił skronie,
Odjął z liry obie dłonie,
W oglądaniu jutra tonie.

Zadumali się słuchacze,
Tu, tam serce zakołacze,
Oko spłonie, to zapłacze.

Skruszyły się matek duchy,
Twarze skryte pod rańtuchy,
Gdzieś szloch słychać, gdzieś jęk głuchy.

W tem wzniósł pątnik głowę swą,
A w czoło mu — o dziwo!
Zaświeciło jasne szkliwo...

Jakaś wielka światłość Boża,
Ni to miesiąc, ni to zorza,
Rzuciła się skróś przestworza.

Rzuciła się do podsienia,
Starca postać opromienia,
Skrzydłem wieje u ramienia.

Już go wznosi, już go chwyta,
Jasność modra, złotolita,
Cała postać w niebo wzbita...

Mknie, ginie już dla oka,
Jako świetny kształt obłoku,
Nad światem — i wysoko.

Zadumienie ludu wzrasta:
— „Ktoś ty?... Kto?...“ woła niewiasta,
A głos z blasków: Jam duch Piastów!

. . . .
Zniknął — wzrok go nie dogoni,
Tylko w progu srebnie dzwoni,
Poniechana lutnia w dłoni.

Marya Konopnicka.



Odezwa do kobiet polskich.

Jest pod Krakowem mogiła bardzo... bardzo stara mogiła... bo już półtora tysiąca lat blisko wznosi się ku niebu, wysoka, widnooka wieczysta, chociaż nie wieńczy jej marmurowa kolumna, ani pomnik spiżowy, ani ciosowy, cementem spajany grobowiec. Ale trwalsza ona niż spiże, cementy i niespożyte złomy ciosu, bo usypały ją ręce ludu z ziemi swojej rodzonej i spajały ją potem i łzami, wznosząc ku niebu wielki płacz żalu i wdzięczności pełnej uwielbienia, nieśmiertelną pieśń.

Pod mogiłą tą, usypaną przed półtora tysiącem lat, ręką ludu o wdzięcznem sercu i duszy pamiętliwej, nie leży żaden pamiętliwy król, ani bohater, ani rycerz wielki i sławny, leży w niej kobieta, dziewczyna młoda i piękna, zaledwie do życia zbudzona, a już przy płaczu i jęku wiernej braci pod ziemię dobrowolnie idąca, do wielkiego szczęścia stworzona i wielkiego szczęścia godna, a rzucająca się na dno rzeki, jak te potępione, co uciekają od dusznej męki w czarną noc śmierci.

I czyjaż ta mogiła, za co od tylu wieków wznosi się nad jasną głową młodej dziewczyny i świadczy o jakimś wielkim czynie, czy jakiejś wielkiej cnocie. Spytajcie każdego dziecka, co się koło mogiły tej chowa, a podniesie na was wielkie siwe oczy, błyszczące zadziwieniem z pod grzywy jasnych włosów. „Czyja mogiła? nie wiecie?“ I zaśmieje się swoim śmiechem serdecznym i zaśpiewa cienkim głosikiem starą, bardzo starą pieśń:

Leży Wanda w polskiej ziemi,
Co nie chciała Niemca.
Lepiej zawsze mieć rodaka,
Niźli cudzoziemca.

Już od półtora tysiąca lat wszystkie dzieci koło Krakowa tak śpiewają i z pokolenia w pokolenie, z wieku na wiek, z ty-

siąclecia w nowe tysiąclecie, niosą sławę młodej dziewczyny, księżniczki, królowej, która wolała rzucić się do Wisły, aby w niej śmierć znaleźć, niż zostać żoną Niemca, niż dzieci swoje w obcej mowie i obcej wierze wychować, niż ludowi swemu narzucić obcego mową i wiarą pana.

Już bo od paru tysięcy lat toczy się walka między temi dwoma ludami, które granicząc z sobą o miedzę, porozumieć się z sobą, ani zbratać nie mogą; różni mową, obyczajem i cnotą. Jedni drapieżni, chcieli cudzego, nienasyceni; drudzy wolność nad wszystko miłujący, na własność drugich nie łakomi, ale swojego do ostatniej krwi broniący; jedni gwałtem i uciskiem bezprawie swoje narzucający, drudzy poświęceniem i odwagą bezprzykładną praw swoich broniący; jedni czciciele mamony nienawiścią i pogardą zionący, drudzy jako Chrystusowi rycerze, walczący w imię miłości, równości i swobody. I począwszy od księcia Rydygiera, który chcąc pojąć Wandę w małżeństwo, nie miłością i obietnicą sprawiedliwych rządów chciał ją sobie zjednać, ale groźbą klęsk, jakie na lud jej sprowadzi, jeżeli go odrzuci; po dziśdzień gromadzą się krzywdy nasze od tych sąsiadów doznane i stoją między nimi i nami murem, który tylko **nasza** wiara, wiara miłości, swobody i równości, jeżeli **oni** na nią się nawrócą, zburzyć może, ale nigdy ich wiara, na którą nam przejść nie wolno, bo ta wiara krzywdzicieli i drapieżców, wiara faryzeuszów i czcicieli mamony, „siły przed prawem“, czyli przemocy przed słusznością.

Dziś, kiedy zbrojne walki i rycerskie zdradliwe napady ustały, kiedy minął czas rozbójniczych grabieży i orężem usprawiedliwionych gwałtów: dziś chcą nas wziąć podstępem i zdradą, chcą dusze w nas zatruć, chcą zabrać nam te dusze nasze własne od Boga nam dane, swoim językiem mówiące, po swojemu czujące dusze wolne i miłujące, a dać nam inne dusze, inny język, inne ukochania niewolnicze i przedajne. I trują nas kłamstwem i zabijają nas fałszowaniem tego, co było i jest i nakładają nam pęta gorsze niż okowy, bo na oczy czarne kładą nam opaski, żeby nie widziały prawdy. Zedrzyjcie te opaski, nie dajcie sobie wiązać oczu i wmawiać w siebie, że z zawiązanemi oczami będziecie lepiej widzieć słońce.

Nie wierzcie, kiedy wam mówią, że jesteście z narodu „niewolników“, bo wyście z narodu, który tak wolność ukochał, że nietylko swojej bronił zawsze wytrwale, ale i na cudzą wolność nie nastawał, ale i wolności innych narodów wszędzie i zawsze strzegł.

Nie wierzcie, kiedy wam mówią, że wyście z narodu niższej kultury, bo najwyższa kultura jest ta, która czyni człowieka podobnym do Chrystusa, a nie są podobni do Niego ci, którzy pogardą i prześladowaniem nas karmią, co jawnie się przyznają, że chcą i muszą nas wytępić, jako niby niższą rasę.

Nie wierzcie, kiedy wam mówią, że obowiązkiem waszym jest uczyć dzieci wasze mowy obcej, bo mowa, to dar od Boga dany, którą tak jak wszystkie dary Boże, strzedz i kochać trzeba, bo Chrystus, kiedy posyłał apostołów swoich do narodów, nie kazał im nauczyć ludów obcego im języka, tylko dał uczniom swoim przez Ducha świętego taki dar, że do każdego przemawiali rodzinnym jego językiem, od Boga mu danym, jedynym językiem, którym każdy człowiek uczucia swoje i myśli szczerze i prawdziwie wypowiada.

I nie wierzcie, kiedy wam obiecują dostatek i dobrobyt, jeżeli się zaprzecie waszej mowy i waszego rodu, bo ten dostatek i ten dobrobyt dają wam za pracę waszą, za trud wasz, za krew waszą żywą i gorącą, która z was czyni lepszych pracowników niż inni, i za którą poszukują was z tej i z tamtej strony morza. I jeżeli wy zostaniecie tem, czem jesteście, Polakami, szanującymi swoją mowę, rozsławioną szeroko po świecie przez waszych sławnych ludzi, to do tej zapłaty za wasz trud i waszą pracę, która wam się należy, dołożą wam inną zapłatę szacunku i czci, jaką się daje ludziom wolnym; a jeżeli wy dla przypodobania się obcym, którzy potrzebują waszej pracy, zaprzecie się waszej mowy i waszej Ojczyzny, to weźmiecie Judaszową zapłatę zdrajców i niewolników.

Do matek polskich, do żon, do dziewcząt polskich wołamy:

Zostańcie tem, czem Was Bóg stworzył, strzeżcie i brońcie tych darów, jakie Wam dał.

Nie wierzcie tym, co każą wam zaprzeć się mowy, obyczaju i Ojczyzny w imię kultury lub w imię Boga, bo kłamcami są — bo ani kultura, ani wiara nie może gruntować się na kłamstwie, na przeniewierstwie — bo Bóg każdemu stworzeniu dał język mu właściwy i wskazał drogę, po której ma iść,

a ci, co naśladują cudze głosy i cudze przedrzeźniają ruchy, stają się pośmiewiskiem wszystkich, jak owe małpy i papugi, które ku uciesze gawiedzi w żelaznych pokazują klatkach.

Matki, nie chowajcie swoich dzieci na małpy i papugi, cudzą przedrzeźniające mowę.

Żony, nie zachęcajcie mężów do tego, żeby z nich obcy robili sobie pośmiewisko, jak z tresowanych zwierząt, które na niemiecką komendę przewracają koziołki.

Dziewczęta, pamiętajcie, że już przed tysiącami lat piękna, bogata i dobra królewna wolała utopić się w Wiśle, niż zostać żoną wroga swego ludu.

Teraz w Westfalii zbiera się wiec kobiet polskich, aby uradzić, jak bronić się od wynarodowienia. Wszystkie kobiety, dla których to możliwe, powinny tam być — wszystkie inne powinny tam duszą i sercem podążyć, aby razem złożyć ślub:

Że zostaną tem, czem je Bóg stworzył, t. j. Polkami...

Że dzieci swoje polskiego nauczą pacierza, i polską mowę, jako swój własny język od Boga dany, strzedz będą jak najdroższego skarbu...

Że szczycić się będą swem polskiem pochodzeniem, bo to pochodzenie zaszczytne, bo naród nasz szeroko wsławiony przez swych bohaterów w przeszłości, a teraz przez swoich poetów, pisarzy i artystów, dla których obcy uczą się naszej przepięknej i bogatej mowy.

Że dla żadnego zysku, dla żadnej obietnicy, dla żadnej pokusy nie sprzedadzą swojej Ojczyzny przez zaparcie się jej i bronić będą od zdrady swoich mężów, ojców i braci.

Że jak Wanda, pierwsza polska królowa, umrzeć raczej będą gotowe, niż podać w ręce wrogów swoją ziemię, swoją mowę, swoje dzieci i swoją cnotę.

Ten ślub powinny złożyć polskie kobiety tam na kresach, gdzie potęga wroga najsilniej narodowość naszą ugniata, a cześć ich i chwała przejdzie jak cześć i chwała Wandy z wieku na wiek, z pokolenia na pokolenie, z tysiąclecia na nowe lat tysiące.



MARUŚ.

Powiastka osnuta na tle stosunków społecznych w Wielkiem Księstwie Poznańskiem.

Napisała

M. T. P.

Posępny dzień listopadowy miał się już ku schyłkowi. Ciężkie, szare chmury leniwo przeciągały po niebie, a zabierając swymi bezkształtnymi masami coraz to rozleglejsze przestrzenie, tamowały przedarcie się ostatnich promieni zachodzącego słońca. Cała przyroda tchnęła niewysłowionego smutku urokiem...

Wśród równiutko wyciągniętych alei — pomiędzy drzewa na pół ogołocone już z powarzonych zimnem swych ozdób, przekopując się prawie przez stosy opadłych liści, które za każdem stąpnięciem szeleściły złowrogo — szło dwóch ludzi.

Ogród był piękny, a w tym półcieniu wczesnego zmroku, bardziej niż kiedyindziej ponętny — lecz oni nie dla przechadzki widocznie deptali jego ścieżyny — bo żywą zajęci rozmową, na otoczenie swe nie zwracali najmniejszej uwagi.

Jeden z nich był to mężczyzna wysoki, szczupły lecz silnie zbudowany. Rysy jego twarzy chociaż niepiękne na pozór, nacechowane były wyrazem niezwykłej szlachetności. Oczy miał duże, ciemno-szafirowej barwy, o źrenicach błyszczących szczerem uczuciem i podniosłą myślą. Wąs długi, szumiasty, lekko siwiejący już i takież krótko przystrzyżone włosy nad czołem zdradzały, że człowiek ten, lubo dawno już pierwszej młodości pozostawił poza sobą lata, nie przekroczył jeszcze wieku męskiej siły. Mógł mieć lat około pięćdziesiąt. Ubrany starannie, ale bardzo skromnie, okazywał strojem tym gospodarza, co to zwykł jest sam wszystkiego dogladnąć i poprowadzić wszystko według własnej myśli.

Jedna jeszcze rzecz ściągała na niego patrzących uwagę — był nią pusty, obwisły z prawej strony rękaw i szeroka, rażącej białości szrama na policzku.

Towarzysz jego za to zupełnie inaczej wyglądał. Maleńki, chudy, zawiędły, o twarzy pomarszczonej i prawie cytrynowo-żółtej — o włosach jak śnieg białych, zrzadka tylko porastających mu głowę, której wierzchołek, zupełnie wygolony, błyszczał świętością ton-

sury — miał na sobie długą, czarną, dobrze wyszarzaną księżą sutannę. Staruszek żwawym był jednak i silnym dość, bo mimo, iż w ręku trzymał gruby kij sękaty, wcale nie używał go do podpory — jeno, lekko wymachiwał nim w powietrzu, ścinając główki astrom, rosnącym przy drodze.

Usposobienie miał też snać gwałtowne, bo, mówiąc, szeroko rozkładał rękami, potrząsał bezustannie głową — przystawał — potem znów biegł krokiem przyspieszonym — gniewał się, krzyczał i zrzędził.

Nagle schwycił idącego z nim mężczyznę za guzik od surduta, a trzesąc nim gwałtownie, prędko mówić począł:

— A bodajby ich! tych waszych panków, szatani przez sto lat w piekle smażyli za to, że najobojętniej patrzą, gdy taki piękny kawał ziemi w obce znów ręce przechodzi; boć w końcu będziesz musiał, panie Dezydery, wioskę twoją Niemcowi sprzedać...

W ten sposób zagadnięty, odrzekł stanowczo i dobitnie:

— Mylisz się, księże proboszczu, jeżeli sądzisz, że uczyniłbym to kiedykolwiek. Ale nie o to mi obecnie chodzi — pragnę bowiem przedewszystkiem sprostować twój nazbyt surowy sąd o naszej szlachcie w ogólności. - Tych kilku, którym zalecałeś kupno mojej Strzelny, nie stanowi jeszcze całości, to wyjątek raczej...

— Piękny mi wyjątek, nie ma co! — zawołał rozperzony starowina — z dwunastu obywateli, z którymi o sprawie tej mówiłem, ani jeden nie odpowiedział inaczej, tylko „nie mogę“. A toć, na miły Bóg! wstyd oczywisty i hańba taka niezaradność u szlachty, która bodaj pazurami bronić się przed zagładą powinna.

Dezydery łagodnie położył jedyną swoją lewą rękę na ramieniu kapłana i rzekł:

— Ja, bo wcale inaczej zapatruję się na to. Nie obojętność, nie lekceważenie narodowej sprawy z odmowy tych panów przebija, lecz istotnie nader smutny objaw majątkowej ruiny tutejszego obywatelstwa. Dla tego nie dziwię się im zupełnie, że o nabywaniu obszerniejszych dóbr ani marzyć nie chcą, bo chodzi im zapewne o to, aby utrzymać się na razie przy odziedziczonej po przodkach swych ziemi.

— Bardzo to możebne zresztą, ale — rzekł ksiądz, udobruchawszy się tymczasem trochę — ale jeżeli nikt z tych ludzi nie kupi twej Strzelny, to rad nierad będziesz ją musiał komisyi kolonizacyjnej odstąpić...

— Nigdy! krzyknął Dezydery, a oczy jego spokojne i łagodne dotąd, zmąciły się nagle i piorunne skry sypnęły dokoła.

Ksiądz wypatrzył się na niego zdziwiony.

— Czyżbyś — spytał — łudził się jeszcze nadzieją, że ci rząd wyrok wygnańczy odwoła?

— Jakżebym mógł o czemś podobnem marzyć? — z westchnieniem rzucił mu Dezydery w odpowiedzi. Znasz mnie przecie — dodał po chwili — księże proboszczu, jako człowieka, który nie ma zwyczaju stawać oporem tam, gdzie mu się to na nic nie przyda. Wydane rozporządzenie rządu pruskiego nie mnie tylko jednego wydala — wszelkie odwoływania się do władz nie pomagają — przypominanie położonych dla państwa zasług, choćby takich, jak ja, na polu bitwy, tem bardziej tylko ich jątrzy — nie pozostaje więc nic innego jak poddać się wyrokowi i iść w świat, gdzie mnie oczy poniosą... Staruszkowi zaszły łzami źrenice. Po chwili stłumionym głosem i wachając się nieco zapytał:

— Więc pozostawisz pan wioskę na łaskę Opatrzności — a Maruś żebranego chleba kęsem karmić odtąd będziesz?

Dezyderego usta złożyły się do bardzo smutnego uśmiechu.

— Żebranym chlebem wygnańca nie będę dzielił się z pieszczotką mą — rzekł:

— Pójdę w świat, jak tego dekret banicyjny wymaga, lecz pójdę samotny. Maruś pozostanie tu...

Ksiądz się zadumał.

— Prawda — zaczął wreszcie — jej jako sierocie po tutejszym poddanym nie grozi niebezpieczeństwo wygnania — lecz nie możesz ją pan przecie zostawić samą, bez opiekuna... bez...

— Opiekun łatwo się znajdzie, gdy będzie się czem opiekować — z odcieniem ironii w głosie odparł Dezydery, a po chwili milczenia dodał:

— Jutro zaraz pojadę do Poznania, gdzie zrobię urzędowy akt przepisania Strzelny na Maruś.

— I sądzisz pan — spytał ksiądz, składając ręce — że ona zgodzi się na przyjęcie takiego daru?

— Dla wielkich celów — poważnie odrzekł gospodarz — kobiety wszystko są uczynić gotowe. A zresztą mam nadzieję, że nim

jeszcze upłyną te dwadzieścia dni, pozostawione mi na uporządkowanie moich osobistych interesów, pan Kazimierz Wnęcki z Słupnicy, potrafi zaskarbić sobie względy mojego dziewczęcia, tak, że opuszczając te strony, na pożegnanie błogosławić będę narzeczonych.

Proboszcz kręcił głową z coraz to widoczniejszem niedowierzaniem. Wreszcie rzekł:

— Układasz to wszystko tak, panie Dezydery, jakbyś co najmniej ojcem był tego dziewczęcia — a przecież, mnie się widzi, że w tobie młode i gorące bije jeszcze serce, i kto wie, czy nie potarga się z bólu, gdy ci nagle Maruś zabraknie.

Słuchającemu wszystka krew uciekła z oblicza, które stało się przerażająco bladem; oczy tylko dziwnym jakimś pałały ogniem.

— Źle mnie sądzisz, księże — rzekł głucho — ja... ja... o sobie... nie myślałem... nigdy. Com robił, robiłem dla niej jedynie, albo raczej dla pamięci jej zmarłego ojca, tego, który w bitwie pod Gravelotte*) ofiarą własnego życia uchronił mię od śmiertelnego pocisku. Znasz przecie tę historyę, księże proboszczu — mówił wolno, dobitnie, choć głosem przyciszonym nieco — wiesz, jak wieśniak Wojciech Kandzik, a mój druh broni, w groźnej chwili niebezpieczeństwa rzucił się między mnie a tłum francuskich żołnierzy, i jak ugodzony ostrzem bagnetu, który w moje serce był skierowanym, oddając bohaterskiego ducha swego Bogu, jedyną, ostatnią zaniósł do mnie prośbę w tych słowach: „Pamiętaj o Maruś". — I wiesz także, com umierającemu poprzysiągł — oraz jak wywiązać się z tej obietnicy starałem.

— Byłeś jej najlepszym opiekunem, panie Dezydery — wtrącił rozrzewniony staruszek.

— Nie pozostaje mi więc nic innego teraz — ciągnął dalej gospodarz — jak zakończyć pracę mą odpowiednim czynem.

Nie mogąc sprzedać wioski, zostaję wygnańcem bez grosza, tułaczem kaleką — wstrząsnął pustym rękawem — bez sposobu prawie zarobienia sobie na życie; z Maruś zatem rozstać się bądź co bądź muszę, i choćby mi, jak powiadasz, miało serce z bólu pęknąć — zrobię to...

— A gdyby ona nie chciała? — zapytał kapłan.

*) Jedna z najstraszniejszych potyczek w wojnie francusko-pruskiej 1870 r. Bohater tej powiastki, jako obywatel państwa pruskiego (mieszkaniec Poznańskiego) w szeregach wojsk niemieckich walczył i stracił tam rękę.

— Gdyby nie chciała? — powtórzył pytanie to Dezydery i zamyślił się — ha! popracuję nad nią, to i zgodzi się dziewczyna, zwłaszcza, jeśli serduszko jej znajdzie w panu Kazimierzu odpowiedni ideał.

— Czy go tylko kochać potrafi? — rzucił od niechcenia niby proboszcz.

— Chłopiec młody, ładny, dobry — mówił Dezydery tonem przekonywującym — pokocha... pokocha pewnie. Zresztą zrozumie przecie, że to dziś jedyny środek wyjścia dla mnie, który nie chcę ziemi mej wydać na łup hartmanowskiego „ausrotten" *). Jako zacna obywatelka pojmie Maruś wielkość zadania swego i choćby nawet poświęcić się miała, bez szemrania zrobi, co trzeba.

— Mówisz pan tak przekonywująco — ozwał się po chwili milczenia kapłan, — że gdyby cię teraz wychowanka twoja słyszała, mimo swego wiecznie przekomarzającego się usposobienia, musiałaby ugiąć dumną główkę przed doniosłością takich wywodów.

— Właśnie, że nie! księżuniu! — zabrzmiał nagle dźwięczny, srebrny głosik i w tej chwili, z poza gęstwiny drzew ukazała się złotowłosa główka ślicznego dziewczęcia.

— Wszelki duch Pana Boga! — zakrzyknął proboszcz i uderzył w dłonie zdziwiony, a skądżeś się tu waćpanna wzięła?

— Przeczucie kazało mi iść w tę stronę, gdzie nie chcący odkryłam spisek, jaki na moją głowę uknuliście sobie bezkarnie — odrzekła dzieweczka, figlarnie uśmiechając się do staruszka.

— To nie ja! panno Maruś! to nie ja! — bronił się starowinka. Pan Dezydery sam cały plan ułożył i przemawia za nim tak gorąco, że chyba nie dasz sobie z nim i ty rady dzisiaj.

Dziewczyna zbliżyła się do milczącego mężczyzny i zarzuciwszy mu obie rączęta naokoło szyi, przytuliła główkę swą do jego piersi i pieszczotliwie w oczy mu patrzyła.

Proboszcz zacierał dłonie.

— Ciekawym, jaki obrót teraz rzeczy wezmą — mruknął do siebie — bo że ona równie dzielna jak piękna, to pewne.

A piękną też to była, piękną ta Maruś!...

Ośmnaście lat, barwą śniegu i róży, znaczyły się na jej twarzyczce. Smukła, giętka, wiotka jak topolka przydrożna, miała w sobie urok niepokonalny, który od blasku jasnych warkoczy na całą jej istotę spływał.

*) „Ausrotten" znaczy na polskie „wyplenić, zniszczyć do gruntu!" Takie hasło względem Polaków, rzucił Prusakom ich filozof (?) Hartmann.

W ciemnej sukience i z pękiem fijołkowych astrów u koku, wglądała tem cudniej, że strojem tym w zupełnej była zgodzie z posępnym smętkiem przyrody.

Dezydery łagodnie rozplótł uścisk białych jej rączek i poważnie rzekł:

— Maruś! sądzę, że zechcesz zrozumieć moje powody, dla których pragnę się pospieszyć z wyszukaniem ci dozgonnego towarzysza.

Brakło mu tchu, czy odwagi może, bo przestał mówić. Dziewczę tymczasem ręce opuściła na suknię i stało, trwożne rzucając naokoło spojrzenia.

— Nie lękaj się niczego — mówił dalej mężczyzna, siląc się na spokój — człowiek, któremu najcenniejszy mój skarb powierzę, godnym tego ze wszechmiar być musi. Pan Kazimierz Wnęcki.

— Nie chcę! o, nie chcę! — zawołała Maruś z namiętnym wybuchem boleści.

— Ależ, drogie dziecię moje! — uspokajał je Dezydery, przygarniając płaczącą do siebie i jedynem swem lewem ramieniem, opasując mocno jej kibić — pomyśl, że ja za dwadzieścia już dni muszę opuścić te strony — samą przecież cię nie zostawię, bez opieki męskiej, bez gospodarza dla Strzelny.

— Ja nie puszczę cię ztąd samego! — krzyczała dziewczyna, czepiając się go rękami — ja pójdę z tobą, choćby na kraj świata, bo ja ciebie kocham, uwielbiam, ubóstwiam najszlachetniejszy z ludzi, mój opiekunie!...

Źrenice Dezyderego zmąciły się.

— Nie może to być, — Maruś — przemówił z ogromnem wysileniem w głosie — bo... bo... ja nie mam... sposobu zapewnienia ci z sobą... życia spokojnego — bez troski.

— O to nic, to nic, — rzekła jasnowłosa, uśmiechając się przez łzy — będziemy pracować wspólnie. I ja przecie, dzięki tobie, coś umiem. Rąk nie opuszczę, ciężarem ci nie będę, ale nie porzucaj mnie!...

— Nie krwaw mi serca, dziewczyno! — zawołał Dezydery, odpychając ją gwałtownie od siebie — nie kuś mnie, bo to niemożliwe stanowczo!

A po chwili, łagodniejąc.

— Wytłomacz jej, księże proboszczu — rzekł, zwracając się do kapłana — wytłumacz jej, proszę, dlaczego my się musimy rozdzielić.

Proboszcz zrobił taką minę, jakby myślał: „albo ja wiem?“ lecz czyniąc zadość prośbie Dezyderego — pogłaskał Maruś po głowie i rzekł:

— Nikt, widzisz, z naszej szlachty nie chce kupić wioski twego opiekuna, a on za żadne skarby świata nie sprzedałby jej znów Niemcowi. Trzeba ci więc będzie objąć gospodarstwo i poszedłszy za mąż, starać się, aby ziemia ta w naszych pozostała rękach zawsze.

Maruś zapłomieniała.

— Więc to o to rozchodzi się? — zawołała wesoło, a potem przyskoczywszy do Dezyderego, szybko i z mocą przemówiła:

— Ależ to doskonale! Strzelnę mi oddajesz na własność...

A gdy on skinął głową na znak potwierdzenia, dziewczyna mówiła dalej:

— Dar twój przyjmuję, lecz pod warunkiem, że pozwolisz mi zrobić z nim, cokolwiek mi się będzie podobało.

Dezydery utkwił w jej twarzy wzrok prawie groźny, a cień bolesnego oburzenia przemknął mu przez czoło.

Dostrzegł to kapłan poczciwy.

Nie oburzaj się — rzucił mu — ona nic niepoczciwego nie myśli. •

Maruś w rękę go pocałowała z uczuciem.

— Dziękuję ci, księżuniu, za dobre słowo, w obronie mej wyrzeczone — przemówiła cicho, a zwracając się do opiekuna:

— Zatem — dodała — ziemię moją dziś jeszcze rozparceluję i rozdam — rozdam darmo między tutejszych wieśniaków. To najzdrowszy członek naszego nauodu, to zresztą rodzeni bracia moi. Nie uronią oni z tej darowizny ani jednej piędzi, a wzmocnią ją majątkowo i tem skuteczniej będą mogli odpierać zapędy gniotącego nas germanizmu.

Dezydery ukląkł przed mówiącą i całował białe jej dłonie, a ukzucie nadziemskiego uwielbienia długo nie pozwalało mu ani słowa wyrzec.

Stary proboszcz stał zaś na boku i ukradkiem ocierał łzy, spływające mu po policzkach.

A Maruś, pochylając się i ustami dotykając czoła klęczącego, spytała:

— Więc weźmiesz mię teraz, wygnańcze, na tułaczkę z sobą?...

— O, moja święta! — szepnął mężczyzna — moja ukochana dziewczyno!

— Żono — poprawiła go.



Roboty na październik.

W pierwszej połowie października powinny być zasiewy ukończone. Dużo roboty z sprzętem okopowin jak kartofli, buraków i wszelkich warzyw. Dosyć, że i w tym miesiącu roboty nie mało. Nie zapominać o zakiszaniu zielonej paszy. Prawidłowo zarobiona „kiszonka“ jest zdrową i nader przydatną paszą. Zakisza się kukurydzę, (którą zostawia się też w stożkach na wolności) liście buraczane, odpadki warzyw i t. p., a przechowuje się je w dołach.

W nowszym czasie zakiszają zieleninę także w stożkach okrągłych. I tutaj główna czynność polega na wytłaczaniu powietrza. Od dokładnego wytłoczenia zależnem jest dobre przechowanie „kiszonki“. To też zieleninę wolno trzeba do dołu lub stożka dowozić, aby czas był na dokładne udeptanie poszczególnej warstwy.

Dalsze prace polegają na orce ściernisk, które o ile tylko się da, wszystkie należy zorać przed zimą i zostawić w surowej skibie. Mróz zbawiennie oddziaływa na zoraną rolę, to jest na jej spulchnienie i skruszenie.

Skoro się ukończy kopanie kartofli, natychmiast należy pole kartoflane zbronować, kartofle należy za broną pozbierać, łęty kartoflane usunąć z pola, następnie orze się pole kartoflane.

Co do pastwisk, to nie pasać za długo, bo rośliny wydeptane i pokaleczone przez zwierzęta jeżeli nie odżyją przed mrozami, łatwo wymarzną.

W lesie i sadzie. W końcu miesiąca rozpoczyna się sadzenie drzew. Krzewy agrestowe, świętojankowe przesadza się. Drzewa stare, nie rodzące więcej, należy wykarczować.

Tyczki od szablaku i t. p. powyciągać z ziemi i przechować do użytku na rok następny.



Grzyby i ogórki.

W poprzednim numerze *Przodownicy* mówiłam o wyrabianiu win z owoców i jagód, dziś pomówię nieco o bardzo korzystnym plonie lasów naszych, t. j. o grzybach. Grzyby do użytku domowego dają się suszyć, marynować i kisić. Suszyć należy grzyby prawdziwe i boraki i to nawlekając na nitkę na przemianę czapeczkę i korzonek, bo gdy się obok siebie nawlecze same czapeczki, zbiją się w kupkę i tak skleją, że suszenie trwa długo i znaczna część grzybów zgnije, zanim się zupełnie dosuszy. Należy więc grzyby do pierwszego obsuszenia zawiesić w ciepłej kuchni, potem zaś wynieść je na wiatr dla dosuszenia. Doskonałe są czapeczki prawdziwców i boraków marynowane w occie. Odebrawszy większe grzyby do suszenia — drobne czapeczki boraków i prawdziwców, jeżeli są zanieczyszczone piaskiem, spłukać w zimnej wodzie i na przetaku obszuszyć, wziąć octu pół litra na litr grzybów, zagotywać go z liściem bobkowym, pieprzem zwykłym i angielskim, z odrobiną soli i z garścią drobnych obranych cebulek w naczyniu kamiennem lub glinianem, nigdy w żelaźniaku. Gdy zawrze ocet z korzeniami i cebulą, wrzucić grzyby i obgotować kilka razy, poczem wlać do kamiennego lub glinianego garnka i obwiązać papierem. Radzę na próbę zrobić i ponieść do jakiego sklepu korzennego, może zechcą kupić i zamówienie zrobią na większą ilość, należy tylko przyrządzać to czysto i starannie.

Najlepsze do marynowania i kiszenia są rydze. Grzyb to wyborny, tylko się suszyć nie da, ale zato kiszony w baryłkach lub kamiennych naczyniach, śmiało może liczyć na kupca. Rydze czysto otarte z mchu i piasku, układać na spód do drewnianej baryłki, przesypać solą, krajaną cebulą i pieprzem, na to znów dać warstwę rydzów, znów sól, cebula i pieprz. Tak do wierzchu baryłki układać rydze z przesypywanem, potem przycisnąć krążkiem czystym, na który postawić należy czysty kamień. Na zimę do ziemniaków jaka to wyborna potrawa, zwłaszcza w posty, ale potrzeba od czasu do czasu odjąć krążek, opłukać go w czystej wodzie, kożuchy zebrać z faski i zawsze tak trzymać, aby krążek ugniecionym był przez kamień a kwas był na wierzchu. Rydze można również marynować w occie, jak prawdziwiaszki i boraki.

Gdy mówimy o kwaszeniu grzybów, wspomnę też o kwaszeniu ogórków.

Baryłkę lub beczkę przeznaczoną na ogórki zimowe, potrzeba starannie wyparzyć, wysuszyć, a dobrze jest i wysiarkować, to jest do beczki wstawić w czerepku szmatkę napojoną siarką i zapalić, dym siarkowy zabije wszystkie zarodki zgnilizny. Następnie na świeżem powietrzu wywietrzyć, aby wszystek zapach siarki wyszedł. Na spód beczki nałożyć kopru, liści winogronowych, a gdy tych pod ręką nie ma, liści wiśniowych, parę korzonków chrzanu ostruganego, liście chrzanowe, a kto lubi, ząbek czosnku. Układać czyste, opłukane w wodzie ogórki zielone jeszcze, bo w żółtych nasiennikach mięsa

jest niewiele, tylko wodnista ciecz, w której pływają ziarnka i łatwo ulegają zepsuciu. każdy ogórek naciąć od ogonka i nadkroić na długość małego palca, aby sól łatwiej do wnętrza przenikała. Do wierzchu ułożone ogórki nalać ropą słoną, licząc na ćwierć korca ogórków kilo soli. Następnie mieć zakwaszony rzadziutko kwas chlebowy, więc go zcedzić do ogórków, uważając, aby szedł sam kwas bez mąki, licząc do ćwierć korca ogórków najmniej pół litra kwasu mocnego. Uważać należy aby ogórki przykryte były ropą, pozostawione na wierzchu łatwo nagniwają i zarażają zgnilizną inne ogórki. Przycisnąć i zabić denkiem, wynieść do zimnej piwnicy i dopiero w zimie rozpocząć. Jeżeli dobrze i starannie zrobione dotrwają do wielkiego postu.



Jabłecznik.

Najlepszymi z naszych owoców do wyrobu win, są jabłka i gruszki. We Francyi i Niemczech głównym napojem wieśniaków jest jabłecznik, napój skuteczny nawet w chorobach żołądka, a tani, bo nie potrzeba dodawać doń cukru, jak przy innych owocach: to też nie mam dość słów zachęty dla włościan, by zechcieli spróbować wyrabiać jabłecznik; spróbowawszy raz, jestem pewną, że tak się zachęcą, iż co roku zaopatrzą się w kilkadziesiąt litrów tego smacznego, zdrowego i taniego napoju, który dolany do herbaty w zimie, ogrzeje, a do wody w lecie, ochłodzi.

Jesienią, gdy zrodzą jabłka, ogrodowe gruszki, i dziczki leśne, oddzielić należy owoc piękniejszy na sprzedaż i do domowego użytku, a drobniejsze, zdrowe owoce, oczyściwszy z ziemi i brudu w wodzie, pognieść w następujący sposób.

Co prawda zachodzi tu główna trudność, dla kogoś, kto potrzebnych narzędzi do gniecenia nie posiada, ale warto choć o najprostsze narzędzia się postarać, aby wypróbować jabłecznik. Do gniecenia jabłek są osobne młynki z blachy cynowej, bo żelazo w połączeniu z kwasem owocowym wytwarza rdzę. Droga to jednak rzecz taki młynek, więc kto go kupić nie może, niech drobno jabłka posieka, a potem ugniecie rękami i pokruszy grubsze kawałki. Rozdrobnione jabłka należy w czystem naczyniu zostawić na jedną dobę, potem wlać do czystej baryłki, z której dno wyjęte, krążkiem, obciążonym kamieniem czyściutkim przycisnąć i zostawić tak dni kilka. Następnie w worku płóciennym wyciskać sok w prasie, używanej przez kobiety do wygniatania sera. Aby odebrać resztę soku znajdującego się w masie, przepłukać wszystkie wytłoczyny wodą, biorąc na ćwierć korca jabłek trzy litry wody, wygnieść jeszcze raz i wlać do soku czystego. Chcąc mieć wino mocniejsze, któreby się dłużej trzymało, należy dodać cukru, licząc ćwierć funta cukru na litr dolanej wody. Zlawszy wszystko do jednej czystej baryłki, w której oba dna są zabite, otwór szpuntowy przytkać korkiem, w który wprawiona jest rurka szklana zakrzywiona z wlaną gliceryną lub wodą. Przez rurkę gaz fermentacyjny ulatnia się, a muchy i brudy, któreby przez otwór cisnęły się do beczki, przez glicerynę nie przejdą. Gdyby jednak nabycie takiej rureczki stanowiło trudności dla kogo — niech korek z wązkim otworem obwiąże gęstą szmatką płócienną. Całą baryłkę na legarach ustawić w piwnicy. Po kilku miesiącach fermentacya skończy się, o czem dowiemy się, naciągnąwszy z baryłki trochę płynu ze szklanki, który powinien być klarowny jak wino. Następnie ściągać do butelek, ale ostrożnie, aby wina nie zmącić, bo wszystek osad jest na spodzie, butelki poustawiać w piwnicy i używać przez cały rok dokąd świeży jabłecznik nie będzie gotowy.

Jabłecznik z większą domieszką cukru da się trzymać kilka lat — bez cukru powinien być wypity w rok po skończonej fermentacyi, bo się trzymać nie da.

Przy winach owocowych fermentacya trwa dłużej, bo dodaje się większą ilość cukru, dla tego wina z borówek, ostrężyn, agrestu, porzeczek i wisien długo dają się utrzymać w butelkach i im dłużej stoją w szkle tem nabierają większej wartości i mogą być nawet dobrze sprzedawane. Wino borówkowe powinna każda gospodyni mieć w domu, bo leczyć niem można zepsucie kiszek i żołądka, biegunki, nawet w pierwszych początkach dysenteryę.



Jak wygląda dobry ul?

Chcąc poznać dokładnie, jak się obchodzić z pszczołami, aby mieć z nich jak największy pożytek, potrzeba przedewszystkiem poznać urządzenie ich mieszkań i warunki, jakim dobry ul odpowiadać powinien. Langstroth podaje następujących 26 warunków, wymaganych od dobrego ula:

1) Powinien tak być urządzonym, aby dozwalał pszczelarzowi wyjmować wszystkie plastry bez ich uszkodzenia.

2) Powinien pozwalać na wykonywanie wszelkich czynności tak, aby ani jedna pszczoła nie została zabitą.

3) Powinien ochraniać rój od zbytniego zimna lub gorąca, a także od wilgoci.

4) Powinien oszczędzać pszczołom niepotrzebnej drogi, t. j. ułatwiać pracę pszczół roboczych.

5) Dawać możność powiększenia lub zmniejszenia swego według siły roju.

6) Pozwalać na zastosowanie sztucznej woszczyny.

7) Nie pozwalać na zbytnie mnożenie się trutniów, przez usuwanie roboty trutowej i zastąpienie jej pszczelną.

8) Podłoga powinna być ruchoma dowolnie dla łatwości oczyszczenia ula i przewietrzania.

9) Żadna część ula nie powinna być niżej położona od otworu, którym pszczoły wchodzą.

10) Powinien pozwalać na podkarmianie pszczół w każdym czasie.

11) Mieć otwór wejściowy, dający się dowolnie zmniejszać albo zupełnie zamykać.

12) Mieć otwór dostatecznie duży, dozwalający pszczołom na wychodzenie gromadą w razie potrzeby.

13) Pozwalać pszczołom łatwo nadchodzić do nadstawek, jak również dawać dostęp powietrzu.

14) Mieć wszystkie części zrobione podług jednego wzoru i jednakowej miary w całej pasiece dla łatwości zmiany bez szukania.

15) Pozwalać pszczelarzowi dobywać miód w formie najdogodniejszej i najlepszej do sprzedaży.

16) Powinien pozwalać na rójkę naturalną lub powstrzymywania jej podług uznania pszczelarza.

17) Pozwalać na mnożenie rojów pewno i prędko.

18) Przedstawiać łatwość zmiany lub dodawania matek.

19) Pozwalać na łatwe wyszukanie matki.

20) Pozwalać jednemu pszczelarzowi na doglądanie kilkuset uli w różnych pasiekach.

21) Być nieprzenikliwym dla wody z deszczu i śniegu, nie mieć drzwi ani zatworów, mogących pęcznieć, schnąć, paczyć się.

22) Być zabezpieczonym od myszy.

23) Pozwalać na zgromadzanie plastrów miodu na zimę w sposób najdogodniejszy.

24) Dawać możność zwiększania lub zmniejszania wielkości nadstawek bez naruszania gniazda.

25) Mieć nadstawki możliwie zbliżone do plastrów gniazdowych.

26) Cena ula łączącego w sobie wyżej wymienione warunki powinna być jak najniższą, dostępną dla najmniej zamożnych.



Z hodowli pszczół.

Gatunek pszczół, w zdrowym ulu od maja do sierpnia lub września się znajdujący, są trutnie. Są one większe i grubsze od pszczół roboczych, ale im żądła brakuje. Swemi większemi skrzydełkami większy brzęk sprawiają, tak że w locie łatwo je można poznać i rozróżnić.

Z pomiędzy wszystkich pszczół potrzebuje trut do wygrzania się najdłuższego czasu, bo wyłazi z komórki dopiero w 24 dni po zniesieniu jaja.

Trutnie są to pszczoły męzkie i mają tylko jedyne zadanie zapładniać matki. W tym celu wylatują z pnia w dni ciepłe o południowej porze, od godziny 11 do 3 lub 4 i bujają w powietrzu, wydając huczący brzęk. Ponieważ zaś w ulu znajduje się tylko jedna matka, a ta zapładnia się raz na całe życie, a trutni czasem bywa kilka tysięcy, więc też rzadko który dostąpi tego zaszczytu złączenia się z matką. Do tego trutni przeznaczonych powinno być trzy lub cztery w jednym ulu aż nadto. Tymczasem u pszczelarzy, którzy żadnej nauki o pszczelnictwie nie mają, jest trutni na tysiące, które jako istoty ociężałe i leniwe wiodą żywot zupełnie próżniaczy, gdyż nic nie robią tylko siadają na plastrach i zjadają miód. Jeżeli pszczelarz nie zapobiega, aby zbyt wiele trutni w ulach nie miał, to one mu za to z każdego ula kilkanaście kilogramów miodu zjedzą.

Pszczelarz, który chce mnożeniu trutni zapobiedz, powinien na wiosnę wszystkie plastry z dużemi komórkami usunąć, aby matka nie mogła jaj na trutnie nakładać. Również podczas lata winien starannie wyrzynać robotę trutową a przerwy powstałe zapełniać robotą pszczelną, to jest woszczyzną z drobnemi komórkami.

Dla zaspokojenia wrodzonego popędu dobrze jest kawałek czerwu trutowego wielkości dłoni pszczołom zostawić, one się tem zadowolnią i nie będą się siliły do ciągnienia roboty trutowej.

Po skończonej rójce, gdy już pożytek się kończy w polu, zabierają się pszczoły do wypędzenia trutni, przytem można dostrzedz, jak je

wypierają z gniazda na skrajne plastry, gdzie skutkiem chłodu drętwieją i umierają Jeżeli zaś trwa jeszcze pora ciepła, wtedy rzucają się pszczoły na nie, gryzą i szarpią je za skrzydła i wypędzają je z ula. Pędzenie trutni odbywa się u nas zazwyczaj w sierpniu i jest najlepszym dowodem, że pożytek już się skończył i że odnośny pień ma dobrą, zapłodnioną matkę. Pnie, nie mające zapłodnionej matki, nie wypędzają trudni, owszem przyjmują błąkające się trutnie z innych pni, tak, że niekiedy znajduje się w nich wielka liczba tych darmozjadów. Czasem się trafia, że i pnie, mające zapłodnioną matkę, zatrzymują trutnie aż do późnej jesieni.



Złote reguły przy hodowli świń

podaje znakomity hodowca p. Schmidt, dyrektor dóbr Wąsowo w W. Ks. Poznańskiem.

Brzmią one:

1) Pielęgnuj, utrzymuj, paś trzodę jak najlepiej — świnie do chowu jak najtaniej, tuczniki jak najtreściwiej.

2) Do doskonałości w hodowli dojść można zajmując się tylko jednym kierunkiem (a zatem chowem rasowych zwierząt, albo tuczeniem, albo chowem warchlaków, lub wreszcie prosiąt).

3) Hoduj zawsze w tym kierunku, jaki raz uznałeś za najlepszy.

4) Do chowu wybieraj sztuki najforemniejsze, równe i zdrowe, a nigdy nie bierz się do tego za wcześnie.

5) Prócz tuczników powinny wszystkie świnie mieć ruch na świeżem powietrzu i to 1 do 2 godziny dziennie. Świnie utrzymywane na pastwisku, nie chorują prawie nigdy.

6) Chlew powinien być świeży, przewietrzany, bez przeciągów — w zimie dosyć ciepły, latem natomiast chłodny.

7) Staraj się o to, by świnie miały wszelki spokój, szczególnie odnosi się to do tuczników.

8) Także w chlewie wielka czystość jest konieczną.

9) Świnie do chowu paś dostatecznie, ale nie zbyt treściwie.

10) Pasza powinna być zdrowa — świniom służąca.

11) Paszę treściwą czyli posilną, (a zatem ziarno, surogaty paszy) spasać najlepiej na sucho. Kartofle, warzywo, tylko parowane lub gotowane.

12) Woda do pojenia musi być dobrą i zdrową.

13) Odpasać trzeba r e g u l a r n i e, prosiętom i warchlakom nigdy nie daj za wiele na raz, za to częściej. C. d. n.



ROZMAITOŚCI.

Dobrze Wam znana i ukochana przez Was poetka Marya Konopnicka, znowu ofiarowuje Wam prześliczny wiersz, na początku numeru tego zamieszczony, a malujący w potężnych i natchnionych słowach powinności kobiety-Polki. Gorącem sercem odczuwając grożące Ojczyźnie niebezpieczeństwo z powodu germanizacyjnych zapędów Prusaków — zwraca dziś się wielce ta nasza pieśniarka z przestrogą i zachętą do Polek sióstr, żon i matek, i głosem potężnego zapału nawołuje do oporu i wytrwałej walki z wrogami, którzy przez odebranie języka, wynarodowić chcą polski lud na Śląsku górrnym... Przeczytajcie uważnie ten wiersz przepiękny, a odkryjecie w nim dla wszystkich kobiet polskich wskazówkę, jak postępować trzeba, aby na miano dzielnych obywatelek zasłużyć.

W Westfalii nad Renem w Niemczech (dawniej był to kraj słowiański), w dniu 15 września b. r. odbędzie się w obronie narodowości w i e c P o l e k.

Dotąd Polki pod zaborami niemieckimi, nie dość, że były obojętnemi na sprawy narodowe, ale wstrzymywały mężów, braci, ojców, od udziału w pracy społeczno-narodowej.

To też z radością niewysłowioną, dzielimy się z Wami drogie Czytelniczki tą nowiną, która nas wszystkie Polki gorąco obchodzić powinna.

Pomnik dla Bartosza Głowackiego ma stanąć we Lwowie. *Przodownica* nie potrzebuje używać Was, drogie Czytelniczki, do składek na ten pomnik, bo chyba nie znajdzie się ani jedna osoba, czująca się Polakiem, by najchętniej nie pospieszyła z g r o s z e m na pomnik B a r t o s z a G ł o w a c k i e g o, porucznika kosynierów i chłopa, pod którego wodzą w bitwie pod Racławicami odebrano gołemi kosami 12 armat Moskalom.

Włościanie Tarnobrzescy utworzyli komitety po gminach i od 1 września rozpoczną zbierać groszowe datki na pomnik tego dzielnego Polaka, aby w nim uczcić wszystkich chłopów bohaterów z pod Racławic:

„Co przed Kościuszkę armat 12 przywlekli,
A Moskale uciekali jak wściekli,

Jechali... Bartosz na armacie jak na smoku mosiężnym,
A lud śpiewał głosem tak potężnym,
Jak na wiosnę fala rozdąsana:
Danaż moja dana, Ojczyzno kochana!
Aż pod naszym Naczelnikiem trzęsły się kolana.
I temu ludowi nic się nie stało,
Wrócił... Wszystkie kości zdrowe,
Tylko się Mu osmaliło
Od armat pawie piórko nowe.
Gdy się zeszli wodzowie
Bartosza witali
I pili Jego zdrowie.
Serdecznie ściskali!!
Ja Wam teraz powiadam,
Że dziś zuchów już mało
Wiara, bracia, źle teraz:
Dawniej lepiej bywało!“

Dwa Zjazdy braci Ślązaków odbyły się w uroczem Zakopanem w Tatrach. W lipcu b. r. zjechali ze Śląska austryackiego, celem zawiadomienia Rodaków, przybyłych ze wszystkich zakątków Polski, o coraz trudniejszych warunkach, w jakich obecnie pozostają, zarazem wzywali wszystkich Polaków do „wspólnej pracy nad obroną kresów“. Po długich naradach Ślązacy serdecznie przyjęci, przez braci Rodaków ugoszczeni, podniesieni na duchu, zwiedzili najpiękniejsze miejscowości Zakopanego: „Dolinę Kościeliską“. „Czarny Staw“.

Niedługo po Zjeździe w Zakopanem, odbył się Wiec we Frysztacie na Śląsku austryackim, na którem wobec tego, że ludowi polskiemu grozi tam niebezpieczeństwo z dwóch stron, a to ze strony Niemców i Czechów, którzy, jak jedni, tak i drudzy, pragną go zagarnąć, uchwalono:

1) urządzać częste zgromadzenia ludowe, wykłady, przedstawienia, zakładać szkoły polskie, stowarzyszenia krztałcące, bezpłatne wypożyczalnie książek i dążyć do stworzenia zastępu chłopów i robotników narodowo i politycznie uświadomionych.

2) wzmocnić prasę polską na Śląsku, aby energicznie mogła bronić praw polskich, a zwłaszcza dążyć do jak najprędszego stworzenia pisma codziennego, któreby mając na celu obronę praw narodowych na Śląsku, uwzględniało również szczerze ekonomiczne potrzeby chłopa i robotnika polskiego.

3) celem skuteczniejszej obrony przed grożącem wynarodowieniem, należy siłami całego społeczeństwa polskiego stworzyć „fundusz obrony kresów“. Wszystkie pisma polskie są uprawnione do przyjmowania na ten cel składek. Wszystkie dary przesyłać należy do redakcyi pism polskich na Śląsku.

O Morskie Oko wciąż jeszcze toczy się spór nierozstrzygnięty, który z dnia na dzień niemal coraz bardziej się zaostrza. Wiecie, drogie Czytelniczki, że najbliższy nasz sąsiad z poza Tatr, ks. Hohenloe, Niemiec, zajął nam prześliczną część ziemi, nad jeziorem zwanem Morskie Oko. Kilka już lat spór ten się toczy, Niemiec coraz więcej się zagospodarowuje na naszej ziemi, iż wszelkie władze obojętnie na tę sprawę się zapatrują. Cały ogół Polaków postanowił obecnie protestować przeciw zabocznemu księciu, to też zbierają się wiece. Taki wiec jeden odbył się w Zakopanem, drugi w Szczawnicy. Na obydwóch uchwalono stanowczo domagać się u rządu ostatecznego rozstrzygnięcia tej sprawy. Ks. Hohenloe z niemiecką zaciekłością nie dopuszcza nikogo na miejsce przez siebie zajęte. Całą granicę obstawił żandarmami węgierskimi (?), którzy mają rozkaz strzelania do każdego, ktoby granicę tę przeszedł. W obronie Morskiego Oka już kilku dzielnych i odważnych górali życie swe oddało, a wielu dłuższy czas w więzieniu przebyło.

Zjazd Górno-Ślązaków w Zakopanem. Ostatnie tygodnie w Zakopanem ożywiły się niespodziewanie Zjazden Polaków z Górnego Śląska (Dąbrówki, Opola, Raciborza, Bogucic etc.) z pomiędzy inteligencyi, robotników i ludu w liczbie, przeszło 50 osób.

Publiczność zakopańska zgromadziła się tłumnie na dworcu, by pożądanym gościom garnącym się ku nam w poczuciu przynależności narodowej okazać całą swoją wdzięczność i radość. Przybywających wieczornym pociągiem powitała „Harmonia“ dźwiękami hymnu narodowego, poczem na serdeczne i patryotyczne słowa powitania odpowiedział jeden z młodzieży górnośląskiej, a wzruszenie tamowało głos młodemu mowcy, gdy mówił o rozpaczliwej obronie tej garści Polaków, oderwanych od pola macierzystego i lat niedługo 600 toczących bój z zawziętą siłą germanizatorów Górnego Śląska. Duch zniemczenia wieje ku nam zewsząd z kancelaryj rządowych, z kancelaryj fabrycznych, z kazalnic i od stopni ołtarzy!

Ale na szczęście bracia nasi w najstarszej niegdyś dzielnicy Piastowej stoją wiernie przy wierze ojców i ideałach polskości, a to, co czerpią, to czerpią z siebie, z ludu, a nieliczna inteligencya ich, ta wzrosła także z wspólnego pnia macierzystego, z ludu. I nie dadzą się póki żyją! póki jedno serce polskie bić tam będzie i czuć będzie! Cześć im za to! Rozczulona publiczność niosąc pochodnie i wzruszona przy dźwiękach marsza Dąbrowskiego, odprowadzała dzielnych rodaków przez Chramcówki do hotelu „Morskie Oko“, gdzie komitet zjazdu podejmował gości skromną wieczerzą. Wdzięczni Ślązacy serdecznemi prostemi słowy dziękowali za gościnność i nieoczekiwane przyjęcie, a jeden z nich, z zawodu rolnik, wygłosił nieuczoną mowę, charakteryzującą doskonale mężne i wierne serca ludu górnośląskiego. Gdyby kiedy... gdyby

przyszło do jakiej sprawki, to my uformujemy pułk czwarty — kończył śmiały mowca. Nazajutrz po Mszy św. w kościele parafialnym, po odśpiewaniu choralnem „Z dymem pożarów“, zwiedzali Ślązacy osobliwości Zakopanego, jak szkołę rzeźbiarską, muzeum tatrzańskie, zbiory p. Dębowskiej, gdzie prof. Witkiewicz nie szczędził światłych i fachowych objaśnień. W południe w Kuźnicach p. generałowa Zamojska, właścicielka Zakopanego, podejmowała rodaków naszych ze staropolską gościnnością, zaprosiwszy ich na obiad i obdarzając na pożegnanie każdego piękną książeczką, p. t.: „O miłości Ojczyzny“. Wzruszeni Ślązacy wznieśli trzykrotny okrzyk na cześć zacnej i zasłużonej Polki. W czasie obiadu przemawiała jedna z przybyłych Ślązaczek, a mowa tej dzielnej i czynnej wpośród swoich rodaczki naszej, chwyciła wszystkich za serce — mówiła o obowiązkach kobiety-Polki. Po obiedzie udali się goście górno-śląscy na małą wycieczkę przez Kalatówki do doliny Białego, gdzie stanąwszy na wyżynach, podziwiać mogli przy cudnej pogodzie sierpniowej i w blaskach zachodzącego słońca, jeden z najbardziej uroczych krajobrazów górskich. Tu nareszcie na skalnem zboczu górskiem, jako w właściwej swej ojczyźnie, witał ich imieniem braci swych górali, jeden z młodych przewodników wycieczki, przypominając o śmiałym zastępie junaków tatrzańskich, którzy uzbrojeni w ciupagi, torowali niegdyś drogę przez Śląsk wracającemu do domu królowi Janowi Kazimierzowi.

Po drodze zatrzymali się w gościnnym domu właścicieli willi „Adasiówki“ pp. Doktorów Chwistków, gdzie p. Chwistkowa wraz z siostrą swą p. M., obie zacne i sercem oddane Polki, ugościły strudzonych małym podwieczorkiem. Wieczorem po przedstawieniu „Kościuszki pod Racławicami“, pokrzepieni żywem słowem rodaków i balsamiczną wonią lasów tatrzańskich, udali się goście nasi na dworzec kolejowy, zapewniając, że te kilka chwil spędzonych wpośród swoich, będą im bodźcem do dalszej wytrwałej pracy narodowej i pięknem wspomnieniem w przyszłości.



PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Szanownej Franciszce Sorbowej w Paszkówce donosimy, że *Przodownicę* wysłałyśmy wraz listem.

Quo vadis Sienkiewicza. Szanowny St. Cieluszak może dostać na raty. Powieść ta kosztuje 7 kor. 80 hal.

Szanownemu J. L. przesyłamy żądaną książkę p. t. „Poznaj sam siebie samego“ i donosimy, że o obietnicy danej p. J. Sobkowi, pamiętamy.

Tym Szanownym Prenumeratorom, którzy *Przodownicę* żądali, przesłaliśmy numery lipcowe i sierpniowe. Ci zaś co kalendarze zamówili i pieniądze na nie przesłali, otrzymają je jak tylko zostaną wydane.

Wiersze Stanisława i Jantka otrzymałyśmy. Zdanie swoje o nich listownie przeszlemy.

Przestrzegamy przed zrywaniem naci kartoflanej, oraz przed zrywaniem liści buraczanych. Tak pierwsze jak drugie wpływa bardzo na zmniejszenie plonu, jak to liczne wykazały próby. W niektórych gospodarstwach zachował się do dziś dnia zwyczaj zrzynania naci kartoflanej i obrywania liści buraczanych. Ponieważ zwyczaj taki jest bardzo „złym zwyczajem“, należy go koniecznie zaniechać.

Beczki po kapuście i ogórkach powinny być doprowadzone do należytego porządku, w lecie dobrze pomyte i wysuszone, bo gdy brudne i porosłe pleśnią pozostaną do jesieni i wtenczas dopiero umyte, kiedy ich użyć potrzeba, to zapewnić można, że nic w nich się nie ukisi, ani przechowa, bo pleśń zanadto się w drzewo wgryzie, wszystko nią przejdzie i psuć się prędko będzie. Trzeba zatem beczki te wyszorować mocno szczotką zimną wodą z sodą, a dopiero potem wyparzyć je warem; dobrze wysuszyć w cieniu i dopiero wstawić do piwnicy. Przed wzięciem do użytku muszą być jeszcze raz dobrze wymyte i wyparzone.

Pierogi czeskie. Litr (kwartę) mąki rozczynić dwoma całemi jajami, dodać parę łyżek zimnej wody i ciasto wyrobić niezbyt twardo i rozwałkować jak na makaron, pokrajać na kawałki kwadratowe cztero-calowe i zawijać w nie dojrzałe śliwki (węgierki). Zlepić brzegi, tak żeby śliwka nie bardzo była ściśniętą. Zrobione pierogi rzucić do rądla z wrzącą wodą i gotować na wolnym ogniu, aby pierogi nie popękały.

Po ugotowaniu odcedzić i podlać ćwierć litrem (kwaterką) ubitej śmietanki kwaśnej, albo też polać roztopionem masłem.

Sałatka z ogórków. Używać ile możności tylko d o j r z a ł e ogórki, (których to skórka jest żółta,) gdyż są smaczniejsze i słodsze, niż niedojrzałe. Po oberznięciu skórki, pokrajać ogórki cieniutko, domięszać soku cytrynowego, cokolwiek oliwy, lub też kwaśnej śmietany i trochę posolić.

Sałata ogórkowa nie jest stosowną dla osób słabo trawiących i dla osób, nie mogących dobrze żuć. Ogórki lekarze w starożytności bardzo cenili i stosowali w chorobach. Na Ukrainie ogórki jedzą jak każdy owoc — surowe lub z miodem przaśnym.

Placki tatarczane. Grubej mąki tatarczanej rozmięszać warzechwią w zimnej wodzie (lub mleku) ze solą i jednem jajkiem. Kleistą masę kładzie się po ły-

łeczce na patelnię z gorącem roztopionem masłem lub olejem i piecze cienkie placuszki lekko zarumienione po obu stronach.

Zupa z gruszek, jabłek lub śliw robi się albo osobno z każdego owocu, albo z owoców mieszanych i to w ten sposób:

Owoc obrany z koniuszków i czubków płucze się w zimnej wodzie. Potem kraje się go wraz z łupinką i gotuje w obfitej ilości wody. Potem przeciera przez sito i dolewa trochą mleka poprzednio z trochę mąki rozbitego, przegotowuje się ponownie i odstawia na pół godziny na brzeg pieca, aby doszła. Jeść ją można z ryżem, bułeczką w kostkę pokrajaną i ususzoną, albo z chlebem razowym.

Kto lubi może dodać do niej trochę soku cytrynowego, albo cynamonu i trochę cukru.

Rzepa z jagłami. Suszonej rzepki 1 litr (kwarta) obmyć, nalać wody, aby je na wysokość ręki pokryła, włożyć kawałek masła, cokolwiek posolić i warzyć.

Zanim rzepki zupełnie zmiękną, wysypać sparzone kilka razy jagły (1 kg. — 2 funty), dolać wody, aby mogły spęcznieć i nie były za gęste, następnie dodać rumianego masła i zagotować wraz z rzepkami.

Rzepę z ziemniakami przyprawia się tak jak b r u k i e w z z i e m n i a k a m i, a to w sposób następujący: 5 do 9 gładkich rzep (średniej wielkości) pokrajać, wrzucić potem do wody i dusić — następnie włożyć na wierzch 6 do 8 rozkrojonych na połówki ziemniaków, osolić, dodać masła i dusić w sosie na miękko.

Biegunka u cieląt, wyrządza znaczne w obrotach straty. W celu zapobiegania chorobie zalecają niektórzy hodowcy zadawać cielętom codzień z rana nieco „magnezyi" ze śrutowanym owsem — zatem na czczo. — Magnezyę nabyć można w składzie aptecznym lub aptece. Jest to środek zdrowotny (dyetetyczny). Jako środek leczniczy, uchodzą obecnie za najlepsze, proszki aptekarza Noeringa. Lepiej zawsze zapobiegać niż leczyć.

Świnie nowo nabyte z targu i t. p., wogóle wszystkie, o których nie można mieć pewności, że są zupełnie zdrowe — należy wprowadzić na dwa tygodnie do zagrody w osobnym budynku i codziennie obserwować. W czasach teraźniejszych tak łatwo o różne zaraźliwe choroby, a takie ostrożne postępowanie ochronić może właściciela od niejednego wypadku.

Amerykańska trucizna na szczury. Stary tarty ser 100 części, gliceryny 20 części, węglanu borowego 50 części, mąki jęczmiennej 10 części, z tej masy dobrze umieszanej formuje się małe kęski i posypuje mąką. Obok trzeba koniecznie postawić miseczkę z wodą. Środek ten jest bardzo łatwy; można spróbować, czy nasze szczury mają taki sam smak jak amerykańskie.

Proste gospodarskie leki.

Rumianek i ślaz jest w każdej słabości dobrym, a zwłaszcza dla dzieci.

Mięty pieprzowej używa się na kurcze żołądkowe i czyszczenie. Szałwia służy przeważnie do płukania gardła podczas słabego zapalenia; zaś przeciw ostremu zapaleniu, kokluszowi, katarowi, nie znam skuteczniejszego środka nad ekspeller, ale u nas jest zakazany, a ten, który u nas wolno sprzedawać, jest zasłaby. W Prusach jest to środek domowy, a w Anglii nawet w armii jest używany; ja go od lat 29 używam, jest mi wierny, a ja jemu.

Często się zdarza, iż małe dzieci, a nawet i starsze już, nie mogą moczu wypuszczać, co sprawia im wielkie boleści, wtenczas gotuje się seler z pietruszką i daje się dziecku napić, równocześnie okładając tem dolną część brzuszka.

Bzowy i lipowy kwiat używa się na poty: należy z niego herbatę gotować i pić ją podczas zaziębienia.

Z suszonych poziomek gotować na gorączkę dzieciom herbatę, co powoduje, że gorączka szybko słabnie.

Borówki suszone przeciw biegunce, gotować i pić.

Herbata z liści poziomkowych jest o wiele zdrowsza od hińskiej herbaty, a robi się tak: Młode listki poziomkowe suszy się na brytfannie lub wince, albo też na blasze tak, aby trochę przyżółkły, potem przechowuje się w słoju lub puszce blaszanej. Gotuje się je jak zwyczajną herbatę, a z dodaniem wina borówkowego, jest bardzo skuteczną na hemoroidy i na migrenę.

Wino z borówek robi się w ten sposób: Do słoja sypie się na 2 lub 3 cm. grubo borówek, przesypuje się miałkim cukrem i znowu sypie się borówki i t. d., niemal, że pod sam wierzch naczynia. Po pewnym czasie wytwarza się sok, który wznosi się do góry. Ten sok z dodatkiem odrobiny alkoholu, zlewa się go do butelki, którą zakorkowuje się szczelnie i stawia się w chłodnem miejscu, przyczem należy uważać, aby nie rozsadził flaszki.

Eustachy Hałaciński,
introligator.



Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka.**
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Dodatek powieściowy do Nru 9 „Przodownicy“.

ZA CHLEBEM

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

(Ciąg dalszy).

Takimi węzełkami emigranckimi zarzucona była cała sala, co powiększało jej nieład i smutny widok. Pościel, ubranie, zapasy żywności, rozmaite narzędzia i naczynia blaszane, pomieszane z sobą, rozrzucone były w mniejszych i większych kupkach po całej podłodze. Na nich siedzieli emigranci, prawie sami Niemcy. Jedni żuli tytuń, inni palili fajki: kłęby dymu odbijały się o nizki pułap i układając się w długie pasma, przysłaniały światło lamp. Kilkoro dzieci płakało po kątach, ale zwyczajny gwar ustał, bo mgła przejęła wszystkich jakimś smutkiem, obawą i niepokojem. Doświadczeńsi z emigrantów wiedzieli, że wróży burzę. Nikomu zresztą nie było już tajno, że niebezpieczeństwo, a może śmierć się zbliża. Wawrzon i Marysia nie mogli się w niczem zmiarkować, chociaż, gdy kto drzwi na chwilę odemknął, słychać było wyraźnie owe dalekie, złowróżbne głosy, idące z nieskończoności.

Siedzieli oboje w głębi sali, w najwęższem jej miejscu, zatem niedaleko dzioba. Kołysanie było tam bardzo dokuczliwe, więc tam wepchnęli ich towarzysze podróży. Stary posilał się chlebem jeszcze lipinieckim, a dziewczyna, której przykrzyło się nic nie robić, zaplatała sobie na noc włosy.

Powoli jednak milczenie ogólne, przerywane tylko płaczem dzieci, zaczęło ją dziwić.

— Czemu to Niemcy tak dziś cicho siedzą? — spytała.

— Czy ja wiem! — odpowiedział jak zwykle Wawrzon — musi to u nich święto jakie, albo co....

Nagle statek wstrząsnął się silnie, zupełnie jakby się wzdrygnął przed czemś strasznem. Naczynia blaszane, leżące koło siebie, zadźwięczały posępnie, płomienie w lampach podskoczyły i błysnęły mocniej, kilka wystraszonych głosów poczęło pytać:

— Co to jest? co to jest?

Ale nie było odpowiedzi. Drugie wstrząśnięnie, silniejsze od pierwszego, szarpnęło statkiem; dziób jego podniósł się nagle i równie nagle zniżył, a jednocześnie fala głucho uderzyła w okrągłe okienka jednego boku.

— Burza idzie! — szeptała przestraszonym głosem Marysia.

Tymczasem zaszumiało coś koło statku jak bór, którym wicher nagle pożenie; zawyło, jakby stado wilków ryknęło. Wiatr uderzył raz i drugi, położył statek bokiem, a później okręcił nim naokoło, porwał go w górę i cisnął nim w otchłanie. Wiązania poczęły skrzypieć, blaszane naczynia, węzełki z rzeczami, tłomoki i narzędzia latały po podłodze, przewalane z kąta w kąt. Kilku ludzi padło na ziemię; pierze z poduszek jęło latać po powietrzu, a szkła w lampach zadźwięczały smutnie.

Rozległ się szum, łoskot, chlupotanie wody, przelewającej się przez pokład, targanina statku, krzyk kobiet i płacz dzieci, gonitwa za rzeczami, a wśród tego zamieszania i chaosu, słychać było tylko przeraźliwy świst piszczałek i od czasu do czasu głuche tupotanie majtków, biegających po górnym pokładzie.

— Panienko Częstochowska! — szeptała Marysia.

Dziób okrętu, w którym oboje byli umieszczeni, wzlatywał w górę, a potem spadał jak szalony. Mimo, iż trzymali się krawędzi tapczanów, rzucało nimi tak, że chwilami uderzali o ściany. Ryk fal powiększał się, a skrzypienie pułapu stało się tak przeraźliwe, iż zdawało się, że lada chwila belki i deski pękną z trzaskiem.

— Trzymaj się, Maryś! — krzyczał Wawrzon, aby przekrzyczeć huk burzy, ale wkrótce trwoga ścisnęła za gardło i jego i innych. Dzieci przestały płakać, kobiety krzyczeć; wszystkie piersi oddychały tylko pośpiesznie, a ręce z wysileniem trzymały się różnych nieruchomych przedmiotów.

Wściekłość burzy rosła ciągle. Rozpętały się żywioły, mgła pomięszała się z ciemnością, chmury z wodą, wicher z pianą; fale biły o statek jak z armat i rzucały nim na prawo, w lewo i od chmur aż do dna morskiego. Chwilami spienione grzywy bałwanów przechodziły całą jego długość; olbrzymie masy wody wrzały jednym straszliwym zamętem.

Olejne lampy zaczęły w sali gasnąć. Robiło się coraz ciemniej, więc Wawrzonowi i Marysi zdawało się, że to już przychodzi ciemność śmierci.

— Maryś! — począł chłop przerywanym głosem, bo mu oddechu brakło — Maryś, odpuść mi, żem cię na zgubę podał. Już nasza ostatnia godzina nadeszła. Nie będziewa my grzesznemi oczyma świata oglądali. Ni nam spowiedź, ni

nam pomazanie, ni nam w ziemi leżeć, ino z wody na straszny sąd iść, niebogo.

A gdy tak mówił, Marysia zrozumiała, że niema już ratunku. Myśli różne przelatywały jej przez głowę, a w duszy krzyczało coś:

— Jaśku, Jaśku serdeczny, czy ty mnie słyszysz w Lipińcach!?

I żal okrutny ścisnął jej serce tak, że poczęła szlochać głośno. Szlochania rozlegały się w tej sali, gdzie wszyscy ludzie milczeli jakby na pogrzebie jakim. Jeden głos krzyknął z kąta: „*Still*" (Cicho!) ale umilkł, jakby przestraszony własnym dźwiękiem. Tymczasem szkło lampy znowu upadło na ziemię, a płomień zgasł. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Ludzie zbijali się w jeden kąt, by być bliżej siebie. Trwoga milczenia panowała wszędzie, gdy nagle wśród ciszy rozległ się głos Wawrzona:

— Kyrie Elejson!

— Chryste Elejson — odpowiedziała łkając Marysia.

— Chryste, wysłuchaj nas!

— Ojcze z nieba, Boże, zmiłuj się nad nami! — Mówili oboje litanią. W ciemnej sali głos starego i przerywane łkaniem odpowiedzi dziewczyny brzmiały z dziwną uroczystością. Niektórzy z emigrantów poodkrywali głowy. Powoli płacz dziewczyny ustał, głosy stały się spokojniejsze, czystsze, zewnątrz do wtóru im wyła burza.

Nagle krzyk się rozległ między stojącymi bliżej wejścia. Bałwan wybił drzwi i runął na salę; woda z szelestem rozpłynęła się po wszystkich kątach: kobiety poczęły wrzeszczeć i chronić się na łóżka. Zdawało się wszystkim, że to już koniec.

Po chwili wszedł oficer służbowy z latarką w ręku, cały mokry i zaczerwieniony. W kilku słowach uspokoił kobiety, że woda dostała się tylko wypadkiem, potem dodał, że ponieważ statek na pełnem morzu, niebezpieczeństwo nie jest wielkie. Jakoż upłynęła godzina, dwie. Burza srożyła się coraz wściekłej. Statek skrzypiał, zapadał nosem, osadzał pałubą, kładł się na boki, ale nie tonął. Ludzie uspokoili się potrochu; niektórzy poszli spać. Upłynęło znów kilka godzin, do ciemnej sali przez górne okratowane okno poczęło się wdzierać szare światło. Dzień robił się na Oceanie, blady, jakby przestraszony, smutny, ciemny; ale przynosił jakąś otuchę i nadzieję. Odmówiwszy wszystkie modlitwy, jakie umieli na pamięć, Wawrzon i Marysia wczołgnęli się na swoje tapczany i usnęli głęboko.

Przebudził ich dopiero głos dzwonka, wzywający na śniadanie. Ale nie mogli jeść. Głowy ciężyły im, jakby ołowiem; stary jednak czuł się jeszcze gorzej od dziewczyny. W jego skostniałej głowie nie mogło się teraz nic pomieścić. Niemiec, który do Ameryki namawiał, mówił mu wprawdzie, że trzeba jechać przez wodę, ale on nigdy nie myślał, żeby przez tak wielką, że przez tyle dni i nocy. Myślał, że promem przejedzie, jako już nieraz w życiu przejeżdżał. Gdyby był wiedział, że morze tak ogromne, byłby został w Lipińcach. Prócz tego jeszcze jedna myśl kołatała się w nim niespokojnie: oto, czy duszy swojej i dziewczyninej na zatracenie nie podawał? czy to nie grzech dla katolika z Lipiniec, kusić Pana Boga i puszczać się na takie odmęty, przez które trzeba było już piąty dzień jechać do drugiego brzegu, jeśli wogóle istniał jaki brzeg z drugiej strony? Wątpliwości jego i strach miały jeszcze rosnąć przez dni siedm, sama burza szalała jeszcze przez czterdzieści ośm godzin, potem jakoś się przetarło. Ośmielili się znów wyjść z Marysią na pokład, ale, gdy ujrzeli zwały wody, rozkołysanej jeszcze, czarnej i jakby rozzłoszczonej, owe góry mokre, ciągnące na statek i bezdenne ruchome doliny, znowu pomyśleli, że ich chyba ręka Boża, albo inna jaka siła, a nie moc ludzka z tych przepaści wyratuje.

Wypogodziło się wreszcie zupełnie. Ale upływał dzień za dniem, a przed statkiem ciągle widać było tylko toń i toń bez końca, czasem zieloną, czasem błękitną, zlewającą się z niebem. Po onem niebie przelatywały chwilami wysoko małe, jasne chmury, które, poczerwieniawszy wieczorem, kładły się spać na dalekim zachodzie. Okręt gonił za niemi wodą. Wawrzon naprawdę pomyślał, że chyba morze nie kończy się wcale, ale zebrał odwagę i postanowił się pytać.

Razu jednego zdjął rogatą czapkę i, podjąwszy nią pokornie pod nogi przechodzącego majtka, rzekł:

— Wielmożny panie, a prędko dobijewa do przewozu?

O dziwo! majtek nie parsknął śmiechem, ale stanął i słuchał. Na posiekanej wiatrem i czerwonej twarzy jego znać było pracę pamięci i jakichś wspomnień, które nie mogły odrazu w świadomą myśl się ułożyć.... Po chwili spytał:

— *Was?* (Co?)

— Prędko dobijewa do lądu, wielmożny panie?

— Dwa dni! dwa dni! — powtarzał z trudnością marynarz, pokazując jednocześnie dwa palce.

— Dziękuję pokornie.

— Skąd wy?

— Z Lipiniec.

— *Was ist das Lipiniec?* (Co to jest Lipiniec?)

Maryś. która nadeszła w czasie rozmowy, zarumieniła się okrutnie. ale podniósłszy nieśmiało na majtka oczy, rzekła cienkim głosikiem, jako mówią dziewki wiejskie:

— My z pod Poznania, proszę pana....

Majtek począł spoglądać w zamyśleniu na mosiężny gwóźdź łączący burty; potem spojrzał na dziewczynę, na jej jasną jak len głowę, i coś. niby rozrzewnienie, wybiło się na jego popękaną twarz.

Po chwili rzekł poważnie:

— Ja byłem w Gdańsku.... rozumiem po polsku... Ja Kaszuba... [1]) wasz *Bruder*, ale to dawno! *Jetzt ich bin Deutsch...* (Teraz ja Niemiec).

To rzekłszy, podniósł koniec liny, którą poprzednio trzymał w ręku, odwrócił się i wykrzyknąwszy po marynarsku: „ho! ho! o!“ począł ją ciągnąć....

Odtąd, ilekroć Wawrzon z Marysią byli na pokładzie, ujrzawszy ich, uśmiechał się do Marysi przyjaźnie. Oni też radowali się bardzo, bo przecież mieli jakąś żywą duszę przychylną na tym niemieckim okręcie. Zresztą droga nie miała już trwać długo. Drugiego dnia rankiem, gdy wyszli na pokład, dziwny widok uderzył ich oczy. Oto ujrzeli zdala coś kołyszącego się na morzu, a gdy statek zbliżył się do tego przedmiotu, rozpoznali, że to była wielka czerwona beczka [2]), którą fale poruszały łagodnie: w dali czerniała druga taka, trzecia i czwarta. Powietrze i woda były trochę zamglone, ale niezbyt, przytem srebrne i łagodne, toń gładka nie szumiąca, ale jak okiem sięgnął, coraz więcej beczek kołysało się na wodzie. Ptactwa też białego z czarnemi skrzydłami chmury całe leciały za statkiem z piskiem i krzykiem. Na pokładzie panował ruch niezwykły. Majtkowie przywdziali nowe kaftany; jedni myli pokład, inni czyścili mosiężne spojenia burt i okien, na maszcie wywieszono jedną chorągiew, a na tyle statku drugą większą.

Ożywienie i radość ogarnęły wszystkich podróżnych: co tylko żyło, wybiegło na pokład: niektórzy powynosili na wierzch tłomoki i poczęli na nich pasy przyciągać.

Widząc to wszystko, Marysia rzekła:

— Pewnikiem dobijewa do lądu.

Duch lepszy wstąpił w nią i w Wawrzona. Aż tu na zachodzie pokazała się najprzód wyspa Sandy-Hok, i druga z wielkim gmachem, stojącym w pośrodku, a w dali niby zgęstniała mgła, niby chmura, niby dymy jakieś, pasmami po morzu rozwleczone, niewyraźne, dalekie, zmącone, bezkształtne.... Na ich widok powstał gwar wielki: wszyscy wskazywali na nie rękoma, statek też zaświstał przeraźliwie, jakby z radości.

— Co to jest? — pytał Wawrzon.

— Nowy-York — odrzekł stojący obok Kaszuba.

Wtem owe dymy poczęły jakby rozstępować się i ginąć, a na ich tle, w miarę jak okręt pruł srebrną wodę, występowały zarysy domów, dachów, kominów; spiczaste wieże rysowały się coraz wyraźniej na błękicie, obok wież wysokie kominy fabryczne, nad kominami słupy dymów, rozwiane w puszyste kiscie na górze. Na dole przed miastem las masztów, a na ich szczytach tysiące pstrych chorągiewek, któremi powiew morski migotał, jakby kwiatami na łące. Okręt zbliżał się i zbliżał, śliczne miasto wynurzyło się jakby z pod wody, Wielka radość i zdumienie ogarnęły wówczas Wawrzona; czapkę zdjął, usta otworzył i patrzył, patrzył, a potem do dziewczyny:

— Maryś!

— O dla Boga!

— Widzisz?

— Widzę.

— A dziwujesz się?

— Dziwuję się.

Wawrzon jednak nietylko już podziwiał, ale łaknął. Widząc zielone brzegi po obydwóch stronach miasta i ciemne smugi parków, mówił dalej:

— A no! Chwalić Boga! Żeby jeno dali ziemię zara wele miasta z tą ono łączką, bliżejby było na targ. Przyjdzie jarmark: krowę pognasz, świnię pognasz, to i sprzedasz. Narodu tu widać jak maku. Jażem w Polsce chłop, a tu będę pan....

W tej chwili przepyszny „National - Park“ (ogród publiczny) rozwinął się przed jego oczyma w całej swej długości. Wawrzon, ujrzawszy owe grupy i bukiety drzew, rzekł znowu:

— Pokłonię się wielmożnemu komisarzowi od rządu nizko, przymówię się zręcznie, żeby mi choć ze dwie włóki tego boru podarował, a nareszcie zbiórkę. Kiej dziedzictwo, to dzie-

---

[1]) Kaszubi mieszkają nad morzem Bałtyckiem na zachód od Gdańska: język ich jest narzeczem (odmianą) języka polskiego.

[2]) Beczki te nazywają się *boje:* przytwierdzone na kotwicach wskazują miejsca niebezpieczne na morzu.

dzictwo. Parobka się z drzewem rano do miasta poślę. Chwała Najwyższemu, boć widzę, że mnie Niemiec nie zdurzył....

Marysi też jakoś się państwo uśmiechało i sama nie wiedziała, czemu do głowy przyszła jej piosenka, jaką w Lipińcach panny młode na weselach panom młodym śpiewały:

Cóżeś-to za pan?
Cóżeś-to za pan?
Cała twoja sukiencya
Czapka i żupan....

Czy może już miała zamiar zaśpiewać coś podobnego biednemu Jaśkowi, gdy za nią przyjedzie, a ona będzie już dziedziczką?

Tymczasem od kwarantanny [1]) przyleciał do okrętu mały statek. Czterech czy pięciu ludzi weszło na pokład. Zaczęły się rozmowy i nawoływania. Wkrótce drugi statek nadpłynął z samego już miasta, przywożąc agentów z hotelów i zajazdów, przewodników, ludzi wymieniających pieniądze, agentów kolejowych: wszystko to krzyczało w niebogłosy, popychało, kręciło się po całym pokładzie. Wawrzon i Marysia wpadli jakby we młyn jaki i nie wiedzieli, co począć.

Kaszuba poradził staremu, by zmienił pieniądze, i obiecał, że nie da go oszukać, więc też Wawrzon to uczynił. Za to, co miał, dostał czterdzieści siedm dolarów srebrem [2]). Nim wszystko to się odbyło, okręt zbliżył się tak do miasta, że już widać było nietylko domy, ale i ludzi stojących na bulwarku [3]), potem mijał co chwila różne statki większe i mniejsze, nakoniec dotarł do warfów [4]) i zsunął się w wązki dok [5]) portowy.

Podróż była skończona.

Ludzie zaczęli wysypywać się ze statku, jak pszczoły z ula. Przez wązki mostek, położony od burt do brzegu, płynęła ich ciżba różnobarwna: pierwsza klasa, potem druga, a podpokładowi, obładowani rzeczami, naostatku. Gdy Wawrzon i Marysia popychani przez tłum, zbliżyli się do otwartej burty, znaleźli przy niej i Kaszubę. Uścisnął silnie rękę Wawrzona i rzekł:

— *Bruder!* życzę *glücku!* (szczęścia) i tobie, dziewko, Bóg wam dopomóż.

— Panie Boże zapłać! — odrzekli oboje, ale nie było czasu na dłuższe pożegnanie. Ciżba popchnęła ich po pochyłym mostku i za chwilę znaleźli się w obszernym celniczym budynku.

Celnik, ubrany w szary surdut ze srebrną gwiazdą, poszczypał ich pakunki, potem krzyknął: „*Al right*" (wymawiaj: *ol rajt* — wszystko w porządku) i ukazał na wyjście! Wyszli i znaleźli się na ulicy.

— Tatulu! a co będziewa robić? — spytała Marysia:

— Musiwa czekać. Niemiec powiedział, że zara tu nadejdzie od rządu komisarz i będzie się o nas pytał.

Stanęli więc pod ścianą, czekając na komisarza, a tymczasem otoczył ich gwar nieznanego, ogromnego miasta. Nie widzieli nigdy nic podobnego. Ulice biegły proste, szerokie, a po ulicach tłumy ludu, jakby w czasie jarmarku; środkiem karety, omnibusy, wozy ładowne. Naokół brzmiała dziwna, nieznana mowa; rozlegały się krzyki robotników i przekupniów. Co chwila przesuwali się ludzie zupełnie czarni, o wielkich kędzierzawych głowach. Na ich widok Wawrzon z Marysią żegnali się pobożnie. Dziwne jakieś wydawało się im to miasto, takie gwarne, hałaśliwe, pełne świstu lokomotyw, hurkotu wozów i nawoływań ludzkich. Wszyscy tam biegli tak prędko, jakby gonili kogoś, lub przed kim uciekali, a jakie przytem mrowie narodu! jakie dziwne twarze: to czarne, to oliwkowe, to czerwonawe. Właśnie tam, gdzie stali, koło portu panował ruch największy; z jednych okrętów zdejmowano paki i na drugie je wkładano, wozy najeżdżały co chwila, taczki dudniły po mostkach, rwetes i rozgardyasz panował, jak w tartaku.

Upłynęła w ten sposób jedna godzina i druga; oni stojąc pod ścianą, czekali na komisarza.

Dziwny widok przedstawiał na amerykańskim brzegu, w Nowym-Yorku, ten chłop polski o długich, siwiejących włosach, w rogatej czapce z barankiem, i ta dziewczyna z Lipiniec, ubrana w granatową przyjaciółkę, z paciorkami na szyi.

Ludzie jednak przechodzili koło nich, nawet nie spojrzawszy. Tam nie dziwią się żadnym twarzom, ani żadnym ubiorom.

Upłynęła znowu godzina; niebo powlokło się chmurami: zaczął padać deszcz pomieszany ze śniegiem, od wody zaciągnął zimny, wilgotny wiatr....

Oni stali, czekając na komisarza.

Chłopska natura była cierpliwą, ale coś im zaczęło się robić ciężko na duszy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) *Kwarantanna* — miejsce odgraniczone, budynek dla podróżnych, podejrzanych o zaraźliwą chorobę.

[2]) *Dolar* — pieniądz amerykański wartości około $2^1/_2$ złr. w. a.

[3]) *Bulwark* — brzeg zabezpieczony zapomocą murów lub ścian drewnianych.

[4]) *Warfy* — warsztaty okrętowe.

[5]) *Dok* — część portu urządzona do budowania okrętów.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka.**
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.